



Monika – szczęśliwa żona i mama dwójki dzieci – ma 35 lat, zaangażowana w Apostolat Miłosierdzia w Wielkiej Brytanii, towarzyszy ludziom w powrocie do Boga.

OCALONA PRZEZ MIŁOSIERDZIE

«Niech Cię nic nie obchodzi, jak kto postępuje, ty postępuj tak, jak Ja. Każę: masz być żywym odbiciem Moim przez miłość i miłosierdzie» (Dz. 1446). **Ciekawe, dlaczego ten fragment z „Dzienniczka”, św. Faustyna jest Twoim ulubionym zdaniem?**

Bóg obdarza mnie niesamowitymi łaskami, posyła mnie do ludzi, którzy nie byli do spowiedzi 20-30 lat. Po rozmowie zachęcam ich do spowiedzi generalnej. Jezus stawia niesamowite osoby na mojej drodze. Wiem, że nie ma grzechu, którego Bóg by nie wybaczył, należy tylko żałować i Mu to oddać. Mój mąż i ja całkowicie zaufaliśmy Panu: *Jezu, ufam Tobie*. Nie zawsze jednak tak było... Moja historia życia zmieniła się w piekło w 1992 roku. Miałam wtedy 10 lat. Wcześniej mieliśmy swoją firmę: tata rozwodził węgiel i nie brakowało nam pieniędzy. Byłam pobożnym dzieckiem, lubiłam chodzić do kościoła, modlić się na różańcu. Niestety mój ojciec został ciężko pobity, doznał urazu głowy i zaczął pić alkohol. Strasznie nas wtedy bił. Wciąż pamiętam go pijanego. Nawet za upadnięcia widelca na ziemię potrafił wyzywać od najgorszych. Od czasu do czasu chodził do kościoła, ale nie mieliśmy normalnego domu. Mama ciężko pracowała w przedszkolu jako pomoc,



SPOTKANIA Z PI ELGRZYMA MI

bo było nas czworo dzieci. W wieku 13 lat potrafiłam pracować, sprzątać, gotować i opiekować się młodszym rodzeństwem. Nie było pieniędzy, bo tata miał niską rentę, mama zarabiała niewiele, ale starczyło na chleb. Szczęrze mówią, nie wiem, jak ona to robiła. Wiem natomiast, że w naszej rodzinie nigdy nie było jakiejś wielkiej miłości, pomimo starań mamy. Ona też nie umiała okazywać uczuć. Jako dziecko musiałam być dorosła, wspierać ją we wszystkim, bo mówiła, że tylko na mnie może polegać. Ojciec zaś zawsze mówił, że to moja wina, że on pije, a ja tego nie rozumiem...

Jak ta sytuacja w domu rodzinnym wpłynęła na Twoje życie?

Dwa razy, w wieku 15 lat, chciałam odebrać sobie życie. Miałam wrażenie, że każdy mi dokuca i nie mówi prawdy o mnie. Jak coś się działo, zawsze ja obrywałam za wszystko. Nawet postąpiłam o niego w rodzinie o rzeczy, których nie zrobiłam. Wtedy postanowiłam, że to koniecznie i nikt nie będzie mnie więcej upokarzał. Tak zaczęła się przygoda z moimi kolegami. Zaczęłam imprezować: brać narkotyki, kraść, handlować narkotykami. Miałam dostęp do wszystkiego, wiele zła wtedy uczyniłam. Należałam do grupy, która mi dawała wsparcie, mieszkanie, gdy ojciec wyrzucał mnie z domu, bezpieczeństwo, poczucie wartości, że jestem kimś, a przede wszystkim lojalność i jedność. Jeden za drugiego by życie oddał, ja też ich traktowałam jak moją rodzinę, tę pierwszą i najważniejszą. Zresztą oni wszyscy mieli podobne sytuacje, zaliśmy się z jednego podwórka. Całe życie razem wychowywaliśmy się, tylko oni mnie wtedy rozumieli. Myślałam, że nic złego nie robię, krzywdząc po drodze ludzi i tłumacząc sobie, że biednemu krzywdę nie robię. W międzyczasie skończyłam technikum i dostawałam się na studia. To był paradoks, bo pomimo imprez i tego wszystkiego, gdzieś po cichu chciałam mieć normalne życie, a w przyszłości normalnego męża.

Mimo tego, co styłaś o sobie od ojca, nie bałaś się marzyć o szczęściu, miłości, które zaplanował dla ciebie miłosierny Bóg?

Tak, to nie było proste... Mając 23 lata uciekałam do Anglii. Przyjechałam w ciemno, nie do końca nawsztuk wiedząc po co i gdzie jadę. Nie miałam pracy ani mieszkania. Tracając już wiesz, że to Bóg mnie tu wysłał. Czas mijal. Pracowałam, zaczęłam na nowo chodzić do kościoła, ale bez przekonania. Nie rozumiałam, co dzieje się na Mszy św., nic nie wiedziałam. Poznałam swojego męża, ale przez pierwsze 5 lat nie traktowałam go jak mojej rodziny. Ciężko miał z mną, cały czas kłótnie, kłamstwa i całkowicie inne priorytety. Później on się bardzo zmienił, nasze małżeństwo kompletnie się spalało. Codziennie kłótnie, krzyki. W 2014 roku wyrzuciłam go z domu, nie wiedząc o tym, że już miał kochankę. Prosiłam Jezusa o cud, żeby wrócił, bo ja nie przeżyję rozbitej rodziny. I rzeczywiście Jezus mnie wysłuchał, za 3 dni mąż wrócił do domu. A najtrudniejsze było dopiero przede mną: PRZEBACZENIE. Byłam na Mszy św. o uzdrowienie, modliłam się KORONKĄ do Bożego Miłosierdzia i tam powoli wszystko się zaczęło... Co więcej: tata (po 5 latach bez kontaktu) rozkozał się w mojej 9-miesięcznej córce. Bardzo się zmienił, przyjechał do Anglii i opiekował się wnuczką. Nawrócił się, z 2 lata nie pije, cały czas się modli, a ja mam prawdziwego ojca...

Widać, że w tym wszystkim towarzyszy Ci wiara, że Bóg nawet z największego nieszczęścia potrafi wyciągnąć dobro, gdy tylko Mu ufamy i prosimy o pomoc. Czy Łągiewnik odegrał w tym jaką rolę?

Tak, to był ważny czas w naszej rodzinie. Dotknął nas sam Jezus, który to wszystko dopuścił na nas, abyśmy się nawrócili. W Roku Miłosierdzia pojechalśmy z księdzem do Krakowa-Łągiewnik. Byliśmy tam 4 dni. Czuliśmy, że Jezus jest przy mnie, czułam Jego realną obecność. Ten obraz Miłosierdnego był dla mnie jak żywy – spotkałam tam Jezusa Miłosierdnego. Zaczęłam wszystko rozumieć, mój umysł zaczął się rozjaśniać. Słuchałam o Siostrze Faustynie i bardzo się z nią utożsamiam. Podobnie jak ona,

gdy byłam mała, to chciałam wszystkim pomóc, nawet dzieci pod balkonem karmiłam zupą. Wnosiłam do bezdomnych z domu chleb i kiełbasę. Stała mi się ona bardzo bliska. Obraz Pana Jezusa miałam w sercu od zawsze, a św. Faustynę poznałam później: dostałam kiedyś przypadkiem audiobook o siostry zakonnej i słuchałam „Dzienniczka...”. Ale dopiero jak znalazłam się w tym miejscu – w łągiewnickim Sanktuarium – to zakochałam się w Jezusie Miłosierdnym. Zrozumiałam, co On dla mnie zrobił, że gdyby nie oddał życia, byłabym martwa, a tak zawsze mogę wrócić do Niego. Niesamowita jest Jego miłość! Tyle krzywd, zranień, a On nadal nas kocha i czeka aż do Niego wrócimy. Za pokutę często otrzymywałam Koronkę do Miłosierdzia Bożego i pokochałam tę modlitwę. Otworzyłam stronę na facebooku i od roku codziennie modlimy się Koronką. W naszej kaplicy wisi piękny obraz Jezusa Miłosierdnego, który dostaliśmy od sióstr w Łągiewnikach. Taki duży obraz wisi też u mnie w salonie, bo często rozmawiam z Jezusem, a przy tym obrazie czuję, jak bym Go widziała naprawdę.

Jakie przesłanie zabierasz z Łągiewnik?

Na nowo odkryłam modlitwę: „Ojciec nasz” i słowa: *Wybacz nam, jako i my wybaczamy*. Ja teraz naprawdę wybaczam i wybaczyłam wszystkim, włącznie ze sobą. Najważniejsze jest to, że od 3 lat, ja i mój mąż, nawracamy się i żyjemy z Panem Bogiem. Tak jest wspaniale. Chciałabym kiedyś zostać wielką świętą i siedzieć w niebie przy nogach mojego Pana. I adorować Go cały czas. Wszystkim chciałabym powiedzieć: Nigdy nie wątpcie w miłosierdzie Pana i w Jego piękność, czystą miłość. Starajcie się podążać za Nim każdego dnia... On nas ocala swoim miłosierdziem.

Za rozmowę serdecznie dziękuję s. Diana Kuczek ZMBM